

Polska między Europą a Stanami Zjednoczonymi

Zapis dyskusji zorganizowanej w dniu 17 maja 2001 roku w Warszawie przez Fundację im Stefana Batorego i redakcję „Tygodnika Powszechnego”. Uczestniczyli w niej (na zdjęciu siedzą od lewej): Włodzimierz Cimoszewicz, Janusz Reiter, Aleksander Smolar, Jerzy Marek Nowakowski i Jan Maria Rokita.



Aleksander Smolar: Witam wszystkich przybyłych na drugą z serii dyskusji poświęconych polskiej polityce zagranicznej. Obecnie w prasie polskiej i zagranicznej znaleźć można wiele wypowiedzi na temat stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Uzналиśmy wspólnie z redakcją „Tygodnika Powszechnego”, że powinniśmy się włączyć do tych debat, stworzyć dodatkową platformę, możliwość swobodnej, nieograniczonej wymogami dyplomatycznymi dyskusji. Zaproponowaliśmy do rozmowy nieco prowokacyjnie sformułowany temat: *Polska między Europą a Stanami Zjednoczonymi*. Mówiąc o Europie mamy tu na myśli Unię Europejską. Tytuł sugeruje, iż chodzi o istotny obszar wyborów, wobec których polska polityka zagraniczna winna zająć stanowisko.

Nasza dotychczasowa polityka zagraniczna zdaje się przyjmować założenie, że w istocie nie ma dylematu: Europa czy Stany Zjednoczone. Dążyliśmy do udziału w strukturach integracji euroatlantyckiej i osiągnęliśmy wielki sukces wraz z przyjęciem Polski do NATO. Teraz negocjujemy warunki naszego przyjęcia do Unii Europejskiej. I nie ma żadnego istotnego konfliktu, żadnych znaczących napięć, zdają się sugerować nasi politycy reprezentujący kolejne rządy i różne opcje polityczne, które by na nas wymuszały jakiś zasadniczy wybór. A przecież pojawia się coraz więcej sygnałów świadczących o tym, że problem istnieje. Wiele z nich docierało i dociera z zagranicy. W skrajnej postaci Polska jest czasami przedstawiana jako "koń trojański Stanów Zjednoczonych w Europie". O problemie usytuowania Polski wobec różnych pojawiających się napięć i konfliktów między sojusznikami po obu stronach oceanu atlantyckiego pisze się coraz częściej i u nas.

Napięcia w stosunkach między zachodnią Europą a Stanami Zjednoczonymi, przy ogólnie bardzo bliskich i ogromnie ważnych związkach w ramach NATO, pojawiały się również w przeszłości. Ich źródła były różne, często identyfikowane, choć nie wyłącznie, z polityką Francji od czasów generała de Gaulla. Dziś problem w żadnym razie nie ogranicza się do Francji i jej złożonych stosunków z USA. Dlaczego stosunki Unii Europejskiej ze Stanami Zjednoczonymi stały się obecnie bardziej problematyczne niż w przeszłości? Po przełomie 1989 roku Europa nie czuje się zagrożona. Również nieuchronnie zmniejszyć się musiała i w istocie zmniejszyła się militarna obecność Stanów w Europie. NATO ewoluuje od klasycznej koncepcji sojuszu obronnego do formuły systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Jest to widoczne w ewolucji doktryny, celów stawianych sobie przez Pakt Atlantycki i jego obecnej, realnej roli choćby na Bałkanach. Wraz z prezydenturą Clintona Stany stawiały sobie za cel rozpowszechnianie instytucji demokratycznych w świecie. Była to polityka krytykowana w Europie, szczególnie często we Francji, jako wyraz pewnego typu prozelityzmu. Mogliśmy się byli o tym przekonać w czerwcu ubiegłego roku w Warszawie, podczas konferencji *Towards a Community of Democracies*. Pojawiły się wówczas publiczne, zaskakujące wypowiedzi strony francuskiej kwestionujące przedsięwzięcie uważane przez przedstawicieli polskich władz, ale przecież nie tylko przez nie! - za bardzo istotne. Irytacje w Europie wywoływały jednostronnie nakładane – bez konsultacji z sojusznikami - sankcje gospodarcze na różne kraje o niezbyt sympatycznych reżimach, wymuszające na innych krajach podporządkowanie się im. Można ogólnie powiedzieć, że istnieje pewna różnica filozofii działania. Postawa

Stanów zazwyczaj jest bardziej konfrontacyjna. Polityka europejska jest raczej konsensualna, szuka porozumień nawet z państwami uważanymi za „państwa korsarskie”, „bandyckie”, zagrażające bezpieczeństwu międzynarodowemu.

Już za czasów Clintona było odczuwalne, a wraz z przyjściem administracji George’a W. Busha staje się coraz bardziej widoczne osłabianie lub odchodzenie Stanów od multilateralizmu, wielostronnych zobowiązań w polityce zagranicznej. Stany Zjednoczone zdają się mniej liczyć obecnie z innymi formułując swoją politykę. Widoczne jest dążenie Stanów do zmniejszania ograniczeń nałożonych na politykę amerykańską przez rozmaite umowy międzynarodowe - odmowa podpisania traktatów: powołującego międzynarodowy trybunał karny i w sprawie min lądowych, niepodpisanie ostatnio protokołu z Kyoto w sprawie przeciwdziałania zmianom klimatycznym, odmowa respektowania ustaleń OECD w sprawie zwalczania oszustw podatkowych etc. Teraz najważniejszym źródłem konfliktu między unijną Europą a Stanami jest sprawa budowy systemu obrony przeciwko pociskom balistycznym. Za tym niewątpliwie rewolucyjnym projektem, którego realizm trudno dziś jeszcze ocenić, kryje się fundamentalne zakwestionowanie całego systemu umów rozbrojeniowych czasów zimnej wojny. Oparty był on fundamentalnie o tzw. doktrynę MAD, tj. Mutually Assured Destruction. Na marginesie, warto pamiętać, że sam skrót był już znaczący - „szalony”. Wedle tej doktryny bezpieczeństwo miało być oparte na możliwości wzajemnego zniszczenia obu supermocarstw: USA i ZSRR, innymi słowy na równowadze strachu. Otóż Stany Zjednoczone kwestionują obecnie samą zasadę, na jakiej oparty był kunsztowny system bezpieczeństwa czasów zimnej wojny. Rosja nie jest wrogiem, zaś główne zagrożenie może pojawić się ze strony takich państw jak Irak, Iran czy Korea Północna. W takiej sytuacji system "równowagi strachu" nie może już być skuteczny. Trzeba budować nowe systemy obronne. Europa obawia się, że inicjatywa amerykańska może podważyć obecną równowagę, zwiększyć niepewność w stosunkach międzynarodowych i zachęcić do nowej fazy wyścigu zbrojeń z udziałem m.in Chin i Rosji.

Inne istotne pole konfliktów powstało w wyniku inicjatywy europejskiej tworzenia własnych struktur bezpieczeństwa. Rozwój wydarzeń, poczynając od umowy St. Malo między Tony Blair'em a Jacques'em Chirac'em po zapisy szczytu w Nicei dotyczące problemów obrony Europy, prowadził do wzrostu niepokoju w Stanach, że uniezależnianie się Europy w sferze bezpieczeństwa i polityki zagranicznej może w konsekwencji prowadzić do demontażu NATO i zerwania więzi obronnej USA i

Europy. Przywódcy Unii zaprzeczają, aby takie intencje i niebezpieczeństwo istniało, ale przyszłej dynamiki wydarzeń nikt z góry nie jest w stanie przewidzieć.

Różnice interesów i polityk między UNSA i Unią nie ograniczają się wyłącznie do sfery obronnej. Gdy jedenaście krajów Unii Europejskiej stworzyło wspólną walutę „euro”, pojawiła się seria alarmistycznych artykułów w prasie amerykańskiej, przestrzegających przed niebezpieczeństwem ostrych konfliktów, grożono nawet nastaniem nowej epoki wojen. Istniało tam poczucie pewnego zagrożenia w związku z powstaniem waluty, która może w przyszłości konkurować z dolarem jako waluta rezerwowa. Dodajmy, obawy nie pozbawione podstaw, bowiem intencje powołania „euro” były nie tylko ekonomiczne i finansowe, ale także polityczne. Dzisiaj mówi się mniej na ten temat. „Euro” nie okazało się być walutą zbyt silną, ale ten problem zapewne powróci.

Wymieniłem tu obszary, w których - jak sądzę - występuje obecnie szczególnie istotne punktu konfliktów. Można też dużo mówić o kolejnych konfliktach handlowych, i szerzej gospodarczych, między dwoma sojusznicznymi gigantami. Na to wszystko nakłada się czasami przerysowywany konflikt kulturowy, którego symbolem stał się stosunek do kary śmierci i inna filozofia organizacji życia zbiorowego po obu stronach oceanu.

Na tak grubą kreską zarysowanym tle można ulokować miejsce Polski. Niezależnie od intencji polskich władz przypisuje im się, w wielu publikacjach prasowych i nie publicznych rozmowach, systematycznie proamerykańskie stanowisko praktycznie we wszystkich sprawach będących przedmiotem kontrowersji i konfliktów. Niezależnie od tego, czy diagnoza ta jest słuszna czy też nie, problemy powyższe nie są przedmiotem żadnej debaty publicznej. Można nawet odnieść wrażenie, że nie są one przedmiotem refleksji w kręgach podejmujących decyzje o daleko idących konsekwencjach dla miejsca Polski w nowym systemie międzynarodowym.

Nie można, sądzę, kontynuować dotychczasowej linii polityki polskiej, która charakteryzowała się odmawianiem zajmowania stanowiska w wielu podstawowych sprawach. W tej odmowie była pewna racjonalność. Polska nie zabierała głosu w dyskusji dotyczącej problemów strategicznych - przyszłości Unii Europejskiej czy NATO - wychodząc z pragmatycznych i, jak sądzę, dających się bronić przesłanek. Nie chciała antagonizować żadnego państwa, by nie tworzyć sobie wrogów w ramach NATO czy też Unii Europejskiej. Pojawiające się dzisiaj głosy świadczą jednak, że ten

okres „odmowy zabierania głosu” zbliża się ku końcowi. Pojawiają się różne, trudne pytania i będziemy musieli na nie odpowiedzieć.

Jan Maria Rokita: Państwo wybaczą, jeśli na wstępie zacznę od szczypty wizjonerstwa. Podzielałam przekonanie niektórych analityków stanu współczesnej cywilizacji, że wiek XX cofnął całą cywilizację zachodnią. Pamiętam słowa Jacques’a Dellorsa o katastrofalnych skutkach I wojny światowej dla cywilizacji europejskiej, mimo tego, że było to wydarzenie przychylne dla polskiej koniunktury politycznej. W obliczu cofania się wpływów Zachodu we współczesnym świecie spójność pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi w obronie naszej cywilizacji jest fundamentem, na którym można budować misję jej przyszłej obrony. Zaliczam się do tych, którzy politykę mojego własnego kraju widzą poprzez pryzmat zdolności do uczestnictwa w wielkim procesie obrony Zachodu w XXI wieku, jego wartości, siły politycznej i gospodarczej. Jeśli prawdziwy jest pogląd Toynbee’ego, że sposobem dochodzenia do dojrzałości cywilizacji jest tworzenie państw uniwersalnych, to przyszłością cywilizacji, w której żyjemy, byłby układ dwóch państw uniwersalnych, połączonych ze sobą bardzo ścisłymi więzami. Jednego państwa uniwersalnego, funkcjonującego na kontynencie europejskim, zbudowanego na bazie Unii i drugiego, zbudowanego na bazie Stanów Zjednoczonych i Kanady, a nie wykluczam, wobec obecnego przełamywania się historycznych niechęci, obejmującego w przyszłości także Amerykę Południową.

Uczestniczymy w swobodnej dyskusji zorganizowanej przez instytucję pozarządową. W związku z tym nie musimy być ograniczeni kanonami oficjalnej polskiej polityki. Chcę więc powiedzieć, że jestem zwolennikiem tego, by w sposób rozsądny polska polityka sprzyjała budowie państwa europejskiego, aczkolwiek nie na zasadzie zaproponowanej swego czasu przez Joschkę Fischera. Propozycja, aby kilka krajów w ramach modelu ściślejszej współpracy założyło państwo europejskie, a inni może zostaną kiedyś do niego przyłączeni, jest nie do przyjęcia. Podkreślam, mówię o budowie państwa europejskiego na bazie Unii Europejskiej jako całości. Uważam bowiem, że racją wyższą od partykularnego, narodowego interesu jest, aby polska polityka w imię odpowiedzialności nie tylko za własny kraj, ale za cywilizację w obrębie której żyjemy, w takim kierunku zmierzała. Powinniśmy wspierać budowę państwa uniwersalnego na terenie Europy i łączenie się tego państwa wszelkimi możliwymi więzami z drugim podstawowym fundamentem cywilizacji zachodniej -

Ameryką. Powtarzam, w moim przekonaniu Zachód bez bardzo mocnego i trwałego związania tych dwóch państw uniwersalnych nie obroni się w obliczu starcia z innymi cywilizacjami.

Tyle wizjonerstwa. A do czego było mi ono potrzebne? Pod wieloma, czy przynajmniej pod kilkoma względami, sposób myślenia Amerykanów o świecie współczesnym jest mi bliższy, niż sposób myślenia zachodnich Europejczyków.

Po pierwsze, polityka amerykańska jest odważniejsza od polityki europejskiej. Nie dotyczy to tylko czasów rywalizacji z komunizmem, gdy ciężar odpowiedzialności za tę rywalizację przejęli Amerykanie, ale pewnej misji, odwagi w porządkowaniu obecnego świata. To prawda, że tej odwadze towarzyszy czasami nieporadność. Doskonałym przykładem jest polityka wobec Bałkanów pokazująca, jak właśnie odwaga w polityce może być wiązana z nieporadnością. Tym niemniej Polska będzie zawsze krajem przygranicznym cywilizacji zachodniej, i niejako z natury rzeczy postawy odważne leżą zawsze w interesie państw kresowych. Będziemy potrzebowali sojuszników w obronie tej cywilizacji, bo jeśli zacznie się ona łamać, to Polska będzie pierwszym ogniwem upadku.

Po drugie, polityka amerykańska jest bardziej ekspansywna. Amerykanie mają wolę rozszerzania cywilizacji zachodniej, a nie chcą tylko i wyłącznie hamować proces jej kurczenia. Przecież proces rozszerzania NATO bez Amerykanów zapewne by się nie odbył. To oni są zainteresowani umacnianiem niepodległości państw postsowieckich, a jest to nasz żywotny polski interes narodowy. Dzisiaj, gdy trwają starania o włączenie Litwy, Słowenii czy Słowacji w struktury zachodnie, to popierają je przede wszystkim Stany Zjednoczone. Uważam też, że Amerykanie myślą o Zachodzie jako o systemie bardziej światowym, a nie kontynentalnym, i sprzyja to polityce bardziej ekspansywnej. I znów interesem Polski, kraju na rubieży tej cywilizacji, jest aby ta cywilizacja miała w sobie pewną dynamikę ekspansji politycznej.

Po trzecie, Amerykanie są bardziej otwarci, a w naszej sytuacji świat bardziej otwarty jest światem bardziej sprzyjającym rozwojowi naszego kraju, jego przyszłości cywilizacyjnej i gospodarczej. Myślę tu przede wszystkim o sporach protekcyjnych między Europą i Ameryką. A o co Amerykanie się kłócą tak naprawdę, jeżeli zapomnimy na moment o kwestiach organizacji NATO i europejskiego filaru obronnego? Nie podoba im się, że Belgowie i Niemcy chcą koniecznie funduszami publicznymi wspomagać Airbusa przeciwko Boeingowi. Nie podoba im się, że państwa europejskie są niepoprawne w formułowaniu w swoich ustawodawstwach

ulg podatkowych dla różnych gałęzi własnej gospodarki. Co rusz kolejne kraje europejskie takie ulgi uchwalają, a Amerykanie na forum Światowej Organizacji Handlu to oprostowują. Klóć się z uznawaniem przez Europejczyków własnych poczt za monopolistów we własnych krajach. Wytykają to, że przy inwestycjach zagranicznych i zamówieniach publicznych kraje takie, jak Austria, Francja, Grecja są uporczywe w złej woli wspierania własnych, krajowych inwestorów, tudzież w protekcyjnych formułach zamówień publicznych. W tych kłótniach jestem po stronie Amerykanów - nie tylko z pobudek ideowych - ale przede wszystkim ze względu na polski interes we współczesnym świecie. Rozwiązania uniwersalistyczne są dla nas bardziej korzystne.

Oczywiście, można sformułować pewne „ale”. Pod wpływem protekcyjizmu europejskiego, zwłaszcza w środowisku Republikanów, rodzą się w Stanach Zjednoczonych podobne tendencje. To jest niepokojące. Słynny spór o cztery miliardy dolarów dotacji dla Amerykańskiej Korporacji Sprzedaży Zagranicznej - zakwestionowanej przez Światową Organizację Handlu, jako formie ulgi dla amerykańskich eksporterów - jest dowodem złej europeizacji.

Po czwarte wreszcie, w tych sporach amerykańsko-europejskich widać, że Amerykanie wolą upraszczać świat w którym żyjemy, zaś Europejczycy go komplikują. Można wskazywać na liczne przykłady, chociażby na projekt rozporządzenia Komisji Europejskiej nakazujący zuniwersalizowanie i ujednolicenie opakowań na wszystkie produkty. Amerykanie rozumnie pytają, dlaczego, jaka racja polityczna, ekonomiczna, filozoficzna czy religijna stoi za tym, ażeby ujednolicić opakowania na całym świecie? Generalizując, świat amerykański jest prostszy i jest dla mnie dobrą odpowiedzią na nadmiar biurokratyzacji struktur Unii Europejskiej.

Do tego, co powiedziałem chciałbym wnieść pewne zastrzeżenie. Są okoliczności, w których nie jestem po stronie amerykańskiej. Europejczycy bronią różnorodności tradycji europejskich narodów i polityk. Na przykład, Amerykanie zarzucają, że w Europie są różne systemy cen lekarstw, wynikające z różnorodności stopnia opieki socjalnej w krajach europejskich. Chcieliby ten system zuniwersalizować, zgodnie z zasadami wolnego rynku. Dla mnie odpowiedź europejska jest sympatyczna: są różne systemy i skale pomocy społecznej oraz opieki socjalnej nad obywatelem w krajach europejskich. Wcale bym nie chciał, ażeby pod tym względem Europa musiała się ujednolicić. Więc są sytuacje, kiedy Europa w sporach z Amerykanami broni własnego prawa do wewnętrznej różnorodności. I jest także pewna

sfera, w której stoję po stronie Europejczyków: rynek usług kulturalnych. We Francji obowiązuje zarządzenie o nadawaniu w radiu 40% piosenek w języku francuskim. Hiszpanie 51% czasu ustawowo rezerwują w kinach na filmy europejskie, a we Włoszech w każdym dużym kinie trzy ekrany muszą być przeznaczone na filmy europejskie. Uznaję prawo Europejczyków do obrony przed uniwersalną amerykanizacją. Co więcej, uważam, że jest to podstawowym prawem i obowiązkiem polityki narodów europejskich. Polityka polska powinna przyjmować w tej materii podobne rozwiązania. Co ciekawe, w dyskusjach nad naszą ustawą o kinematografii siły najbardziej narodowe, na przykład ZCHN, w sposób niezwykle silny związały się z lobby uniwersalistycznym, proamerykańskim, z powodów zapewne całkowicie pozamerytorycznych. To tylko jeden z przykładów nielogiczności i zabawności meandrów naszej polityki.

I już ostatnia kwestia. Uważam, że Polska powinna w jednej sferze - bezpieczeństwa - stać na gruncie jednolitości wewnętrznej całego Zachodu, i mieć jedną jasną dyrektywę: przeciwstawiać się inicjatywom rozbijającym jednolitość Zachodu i sprzyjać inicjatywom wspierającym tę jednolitość. Podstawowym naszym interesem jest zachowanie jednolitości obrony, istnienie formuły bezpieczeństwa amerykańsko-europejskiego, a nie odrębnej formuły natowskiej i odrębnej formuły europejskiej. I dlatego, wbrew zdaniu większości polskich polityków, uważam, że nicejska decyzja o powołaniu własnego sztabu i własnego planowania operacyjnego przez Europę jest decyzją rozbijającą jednolitość obrony Zachodu i pod tym względem niekorzystną dla polskich interesów. Z drugiej zaś strony uważam, że egoistyczna polityka amerykańska w dziedzinie narodowego systemu obrony przeciwrakietowej też rozbija jednolitość obrony Zachodu, próbując stworzyć parasol bezpieczeństwa tylko i wyłącznie nad fragmentem cywilizacji zachodniej, czyli nad Ameryką. Owszem, byłbym entuzjastą tego projektu, gdyby stał się ostatecznie projektem równej obrony Ameryki i Europy. Jeżeli Polacy tu i ówdzie powiadają, że są za narodowym systemem obrony przeciwrakietowej z jednej strony i popierają równocześnie decyzję nicejską, to w moim przekonaniu, mówią rzeczy niedorzeczne. Dla Polski zarówno ustalenia z Nicei jak i wybudowanie ograniczonego do USA systemu obrony rakietowej przez Amerykanów jest szkodliwe. Prowadzi bowiem do nadwyższenia więzów natowskich. Innymi słowy za najbardziej optymalną dla Polski uważam formułę: być najbardziej proeuropejskim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i najbardziej proamerykańskim członkiem Unii Europejskiej. Z tą postawą nie można pogodzić sprzyjania tu i ówdzie francuskim i

europejskim fobiom antyamerykańskim, ani wysługiwanie się Amerykanom w ich egoistycznych przedsięwzięciach, w których Polska od czasu do czasu uczestniczy na zasadzie wasala. Czyniłbym dokładnie odwrotnie. W kontaktach z Amerykanami byłbym bardzo proeuropejski i bronił interesów Europy, a w kontaktach z Europejczykami i Unią Europejską byłbym bardzo proamerykański, budując w ten sposób samodzielną i wiarygodną dla jednej i dla drugiej strony politykę polską, nie utożsamiającą się ani z zaatlantyckim egoizmem, ani z fobiami rozmaitych Francuzów, którzy przyjeżdżają do Warszawy po to, by wywołać antyamerykański skandal Bronisławowi Geremkowi nos utrzyć, przy okazji organizowanej przez niego konferencji ministrów spraw zagranicznych.

Janusz Reiter: Podzielam wiele z sądów wygłoszonych przed chwilą przez Jana Marię Rokitę. Uważam, że Amerykę i Europę łączy więcej, niż obie strony sobie to dzisiaj uświadamiają. I jeżeli same tego nie zauważą, to inni im pomogą. Z tego powodu Ameryka i Europa będą zmuszone uświadomić sobie te wspólne interesy. W świecie w którym żyjemy od roku 1989 nie ma oczywiście tej prostej klarowności, którą oferował podział Wschód-Zachód. Odnoszę czasem wrażenie, że niektórzy Polacy tęsknią za taką klarownością i pragnęliby ją odtworzyć. Z jedną poprawką: abyśmy znaleźli się po właściwej stronie. Otóż nie ma powrotu do tamtego świata, a oburzanie się kłótniami Ameryki z Europą jest przejawem niedojrzałości politycznej. To trochę tak jak oburzanie się, że partie polityczne się kłócą. W wolnym świecie spór jest najlepszym sposobem uzgadniania interesów, oczywiście pod warunkiem, że jest prowadzony przy zachowaniu pewnych reguł gry.

Jan Maria Rokita podał wiele dobrych przykładów. Ja dodałbym jeszcze jeden: przemysł zbrojeniowy, czy, jak dzisiaj należy mówić, obronny. Pomiędzy amerykańskim i europejskim przemysłem obronnym trwa ostra rywalizacja, którą zresztą czasami możemy obserwować także na naszym polskim gruncie. Ta rywalizacja ma pewne cechy szczególne, różniące ją od współzawodnictwa firm działających w warunkach rynkowych. Amerykanie słusznie niekiedy zarzucają Europejczykom, że gotowi są zapłacić większe pieniądze za gorszy sprzęt pod warunkiem, że będzie to sprzęt europejski. Zgłaszając swe pretensje zapominają, że Europejczycy słusznie uważają przemysł obronny za część zdolności obronnych, a więc pewnej samodzielności i dojrzałości politycznej. Gdyby Amerykanie byli w większym stopniu gotowi traktować Europejczyków jako partnerów własnego przemysłu obronnego a nie

tylko klientów, a więc dzielili się z nimi swymi osiągnięciami technologicznymi, mógłby powstać sensowny ponadatlantycki sojusz przemysłów obronnych. Obie strony muszą więc pójść na pewne ustępstwa. Byłby to bardzo ważny sygnał dla świata.

Dochodzimy do problemu, o którym już wspomniał Jan Maria Rokita. Otóż mówiąc o Europie i Ameryce, mówimy o dwóch różniących się partnerach. Ta nierówność staje się dzisiaj przeszkodą w ułożeniu stosunków pomiędzy nimi. I nie dziwi mnie, że odczucie owej nierówności jako przeszkody w ułożeniu stosunków z Ameryką jest dla wielu Europejczyków silnym bodźcem do dalszej integracji politycznej. My odczuwamy niekiedy ten sposób myślenia jako ambicjonerstwo, bo nam tego typu ambicje są obce. My nie uczestniczyliśmy w czterdziestu latach stosunków transatlantyckich, które ukształtowały Europejczyków z Unii Europejskiej. Ich postawa jest dla nas często trudna do zrozumienia. Przyjmując to, uważam, że ich motywacje są jednak zrozumiałe. I sądzę, że ich celem jest stworzenie odrębnego, chociaż nie konkurencyjnego ośrodka politycznego czy ekonomicznego. Taka Europa będzie silnym partnerem dla Ameryki, która tego partnera potrzebuje. Henry Kissinger mówił o tym, jak trudno być samotnie mocarstwem i jak trudno traktować innych jak równorzędnych partnerów, wiedząc, że nimi nie są. Otóż Unia Europejska chce nie tylko być traktowana jak równorzędny partner. Ona po prostu chce nim być. To wywołuje w Ameryce różne reakcje, nie tylko przychylne, niekiedy także rozdrażnienie. To pragnienie Europy jest próbą spełnienia oczekiwania Kissingera, by Ameryka mogła się z kimś podzielić odpowiedzialnością za świat. Nie twierdzę, że Europa już dzisiaj dojrzała do tego dzielenia się odpowiedzialnością. Myślę, że ma do przebycia bardzo długą drogę. Dam jeden przykład - sprawy bezpieczeństwa europejskiego. W Europie trudno jest dzisiaj znaleźć w parlamencie poparcie na zwiększenie wydatków na obronę a bez większych wydatków nie będzie większej samodzielności.

A możemy wyobrazić sobie sytuację, w której trzeba zwiększyć obecność wojskową w Azji, aby pomiędzy Chinami a Tajwanem nie doszło do konfliktu zbrojnego. Europejczycy uważaliby, że to jest sprawa Amerykanów. Byłoby fatalnie, gdyby powstał podział odpowiedzialności: Europa odpowiedzialna jest za Europę a Ameryka za resztę świata. Europa musi dzielić się z Ameryką odpowiedzialnością za świat. To jest dzisiaj dla Europejczyków wielkim wyzwaniem, któremu nie potrafią - może powinniśmy powiedzieć - nie potrafimy stawić czoła, ani w sensie materialnym, ani w sensie intelektualnym.

Teraz kilka zdań o naszym położeniu. Uważam, że tradycyjny opis Polski jako kraju leżącego między Niemcami a Rosją jest dzisiaj anachronizmem. Zbyt wiele się zmieniło w Niemczech i na całym Zachodzie. Czy zatem Polska leży między Europą a Ameryką? Moim zdaniem nie. Chyba, że sama to sobie wmówi. Tylko wtedy położenie konfliktowe stanie się naszym rzeczywistym problemem. Nie negując rywalizacji i istnienia spornych tematów, nie powinniśmy dać sobie wmówić konfliktu lojalności pomiędzy Europą a Ameryką. To jest sztuczny konflikt. Jego źródłem, moim zdaniem, w mniejszym stopniu jest postawa proamerykańska, a w większym antyeuropejska, a więc nieufność do Europy. Pamiętam o ważnej roli jaką odegrała Ameryka w Europie po II Wojnie Światowej, w znacznej mierze przyczyniając się do europejskiego sukcesu. Gdyby nie amerykańska obecność, trudniej byłoby osiągnąć delikatny stan równowagi pomiędzy Europejczykami po II Wojnie Światowej. Ale, upierałbym się przy tym, że autorami tego sukcesu są głównie Europejczycy. Na dłuższą metę trudno oczekiwać, żeby Amerykanie na naszym kontynencie odgrywali rolę tego, który będzie nas trzymał za szyję, abyśmy się na siebie nie rzucili w jakimś przypiływie amoku. Rozumiem obciążenia historyczne, ale dzisiaj możemy mieć do siebie więcej zaufania. Nie możemy od Ameryki oczekiwać, aby pilnowała nas przed nami samymi, nawet jeśli w przeszłości taką rolę odgrywała.

W Europie odbyła się prawdziwa rewolucja, która zmieniła stosunki pomiędzy narodami europejskimi. Przykładem mogą być Niemcy i Francja. Polska w tej rewolucji musi wziąć udział. Pierwszym krokiem było wejście do NATO, dalszym będzie uczestnictwo Polski w Unii Europejskiej. Dopiero ono odmieni nasze położenie w Europie. Będzie to końcem naszego dawnego położenia geopolitycznego w Europie, tego naszego fatalizmu geopolityki. Otóż wielu Polaków odczuwa przed tym pewien lęk, odczuwa nieufność w stosunku do Unii Europejskiej. To nas łączy z innym krajem, będącym w odmiennej sytuacji geograficznej ale być może w podobnej psychologicznej. Mam na myśli Turcję. Turcy słusznie są rozgoryczeni uważając, że Unia im obiecała członkostwo, ale się z tego nie wywiązuje. Dzisiaj Turcja byłaby mniej krytyczna w stosunku do różnych planów Unii Europejskiej, gdyby nie miała tego poczucia rozgoryczenia. Przy całym dla niej zrozumieniu, nie ma powodu, aby Polacy uważali, że są w podobnej sytuacji jak Turcy. Polska nie może popaść w resentyment antyeuropejski. Byłby to zupełnie błędny osąd istniejących realnie szans. Dzisiaj jesteśmy na progu Unii Europejskiej. Musimy dokonać sporego wysiłku, aby do niej

wejść, ale sędę, że nie ma realnego zagrożenia dla naszego członkostwa w Unii Europejskiej.

Dopiero wejście Polski do Unii Europejskiej oraz nasze uczestnictwo w projekcie europejskim będzie trwałą zmianą naszego położenia w Europie. Co więcej, uważam, że wstąpienie do Unii jest dzisiaj jedyną realną szansą wzmocnienia polskiej suwerenności. Unia Europejska będzie instrumentem, którym Polska będzie mogła się bardzo zręcznie posłużyć, wykorzystując swoje położenie geograficzne, dające jej rangę ważnego kraju. Będzie miała w polityce Unii Europejskiej nominalnie rangę podobną do Hiszpanii, a faktycznie taką, jaką sama sobie wypracuje.

Podkreślam, położenie geograficzne Polski daje jej szansę, aby odgrywać w tej polityce bardzo poważną rolę. Dam przykład dwóch krajów, które potrafiły uczynić z Unii znakomity instrument swoich interesów, zręcznie łącząc własne interesy narodowe z europejskimi: Szwecji i Finlandii. Właśnie ta ostatnia jest ciekawym przykładem, ponieważ jej „wymiar północny” stał się ważną częścią wspólnej polityki Unii Europejskiej, a jest to przecież w dużej mierze fińska polityka zagraniczna. To sprawiło, że dzisiaj Finowie swoje interesy wobec Moskwy wyrażają nie w imieniu samej Finlandii, a w imieniu Unii Europejskiej, która, o czym w Moskwie się pamięta, jest drugim, obok Ameryki, mocarstwem gospodarczym tego świata. I myślę, że jeśli premier Finlandii występuje w Moskwie, czy też w Waszyngtonie, z kapeluszem fińskim i europejskim na głowie, to nieźle to wpływa na jego pozycję wobec rozmówców. Umiejętne łączenie interesów narodowych z europejskimi będzie dla Polski wielką szansą, którą będziemy mogli wykorzystać, jeśli tylko będziemy to potrafili. Byłoby źle gdybyśmy, niepotrzebnie tworząc konflikty lojalności pomiędzy przynależnością do NATO a do Unii Europejskiej, dali tę szansę sobie odebrać. Powtarzam, nie negując istnienia rozbieżności pomiędzy Ameryką a Europą, nie możemy dać sobie wmówić istnienia jakiegoś antagonizmu, który zmuszałby nas do zajęcia stanowiska po jednej, czy po drugiej stronie.

Jerzy Marek Nowakowski: Zgadzaając się z ogromną większością opinii moich przedmówców mam jednocześnie wrażenie, że my operujemy w trzech różnych polach, przekraczając ich granice nieco zbyt swobodnie. Jednym z tych pól jest owa wielka wizja cywilizacyjna, którą Jan Maria Rokita zarysował. Pole drugie to obszar pewnej strategii politycznej, która w Polsce kuleje. Trzecie wreszcie, to pole bieżącej praktyki. Jeśli Janusz Reiter powiada, że niepotrzebnie sobie tworzymy konflikt lojalności, to

przypominam sobie dziesiątki rozmów z politykami europejskimi i amerykańskimi, w których ten konflikt nie myśmy sobie tworzyli, ale przed którym nas stawiano: czy jesteście za Europą, czy jesteście za Ameryką, pytano. Niekiedy stawiano sprawę brutalniej: „nie pozwólcie, żebyśmy sądzili, że wy jesteście trojańskim koniem Ameryki w Europie”. Kiedy pojawiają się takie sformułowania, to trudno nie stawiać sobie pytania o różnice europejsko-amerykańskie i o polską na nie odpowiedź.

Nie będę starał się opisywać tych różnic. Zostały one tu dokładnie zidentyfikowane. Muszę tylko powiedzieć, że gdy jest mowa o europejskiej tożsamości obronnej, to mam wrażenie, że Europa zachowuje się tak, jak ambitna żona, która jest irracjonalnie wściekła, że mąż dobrze zarabia. I Europa, nie mając w tej chwili realnych zdolności obronnych pozwalających na odgrywanie samodzielnej roli, stara się zademonstrować, że świetnie sobie sama poradzi. Ważniejsze jest to, że Amerykanie w pewnym momencie mogą tę demonstrację potraktować poważnie. Ma rację oczywiście Aleksander Smolar mówiąc, że pole manewru polskiej polityki jest w istocie bardzo ograniczone. Jesteśmy obudowani światem organizacji międzynarodowych, bardzo precyzyjnie zdefiniowanych interesów politycznych, ekonomicznych, wojskowych. Żyjemy w świecie pogłębiającej się integracji. Z drugiej strony, polemizując z Januszem Reiterem, mam wrażenie, że wielki projekt europejski w swojej pierwszej części został zamknięty, a w swojej drugiej części jest na tyle mgławicowy, że nie wiemy jak on wygląda. Obawiam się, że spora część kłopotów o których tu rozmawiamy wiąże się z brakiem pomysłu Zachodu na urządzenie zgłiszcz po sowieckim imperium. Ten brak pomysłu powoduje, że powstają przeróżne napięcia, szczególnie widoczne na obszarze Europy Środkowej.

Różnice amerykańsko-europejskie można by zdefiniować w trzech polach. Pierwsze, używając ponownie metafory „niezadowolonej i ambitnej żony”, najostrzej jest wyrażane przez partnerów francuskich, którzy niesłychanie chętnie szczypią „wuja Sama” za brodę, czasami zupełnie bez sensu. Drugie pole to gospodarka, która pomału zaczyna dominować. Trzy, cztery lata temu dużo mówiono w konserwatywnych kręgach europejskich i amerykańskich o transatlantyckiej strefie wolnego handlu. W tej chwili idea TAFT-y zupełnie obumarła. I wreszcie istnieje spór ideologiczny, o którym też warto pamiętać, szczególnie po zwycięstwie republikanów w Stanach Zjednoczonych, pomiędzy bardziej konserwatywną, tradycjonalistyczną wizją świata, a wizją świata bardzo zliberalizowaną, bliską przede wszystkim Brukseli.

Kolejną rzeczą, o której powinniśmy pamiętać definiując polską politykę, są rzeczywiste pola sporów. Uważam, że w interesie Polski jest to, żeby narodowa obrona przeciwrakietowa zmieniła pierwszą literę, żeby nie powstawało NMD, tylko IMD - międzynarodowy czy też natowski system obrony przeciwrakietowej. Nie boję się, że system NMD może być czynnikiem rozbijającym NATO. Obawiam się czegoś innego. To może być czynnik, który amerykańskie elity skłoni do myślenia: skoro Europejczycy powiadają, że jesteśmy niechcianym lokatorem w Europie, to będziemy mogli odejść. To myślenie, określane „neoizolacjonizmem”, jest obecne wśród elit republikańskich, co więcej, nie jest obce przynajmniej części środowisk skupionych wokół obecnej administracji. I jest druga kwestia – europejskiej tożsamości obronnej. Nie zgadzam z tą wykładnią umowy z St. Malo, która obecnie dominuje. Sądzę, że ta umowa miała być próbą opanowania wizji europejskiej samodzielności, wtłoczenia jej, przynajmniej w najogólniejszych zarysach, w koleiny natowskie. Takie przynajmniej było dążenie strony brytyjskiej. W momencie, gdy europejska tożsamość obronna jest wyznaczana jako tożsamość nieomal antyamerykańska, staje się szkodliwą. Jeżeli jest budową europejskiego filara NATO, to Amerykanie jej przyklasną. Jak już tu mówiono, Europa nie grzeszy entuzjazmem do wydawania pieniędzy na obronę, zaś dla Amerykanów dźwiganie roli mocarstwa światowego jest nie tylko psychologicznie trudne. Dla amerykańskiego podatnika trudne do zaakceptowania jest dźwiganie kosztów finansowych za tym idących i chętniej by się nimi, a nie odpowiedzialnością, podzielił.

Jak w tej sytuacji powinna się zachowywać polityka polska? Uważam, że nie powinniśmy zastanawiać się, czy wmawiamy sobie, czy też istnieje realny konflikt. Naszym zadaniem jest pisanie recept dla polskich elit politycznych, przygotowywanie odpowiedzi na pytania, które w różnych gabinetach i na różnych konferencjach pod naszym adresem padają. Obawiam się, że prawdziwym kreatorem polskiej polityki zagranicznej od przynajmniej ośmiu lat jest nieżyjący już premier Sławoj-Składkowski, autor znakomitego powiedzonka: „Byczo jest”. Nasza wizja polityki zagranicznej potrafi do tego sprowadza. Zrezygnowaliśmy z debaty publicznej na temat polityki zagranicznej.

Polska polityka zagraniczna cierpi na dramatyczny uwiąd myślenia politycznego. Gdy słucham wielu wypowiedzi naszych polityków i dyplomatów, to zaczynam mieć wrażenie, że największą przeszkodą w drodze Polski do Unii Europejskiej jest nasze członkostwo w NATO. Oczywiście przerysowuję, ale od czasu do czasu takie myślenie się pojawia. A także od czasu do czasu pojawia się owczy pęd,

powtarzanie: „chcemy do Unii Europejskiej, chcemy do Unii Europejskiej, jesteśmy Europejczykami”, bez cienia refleksji, co za tymi deklaracjami idzie. I jeżeli Janusz Reiter powiada, że powinniśmy posłużyć się zręcznie naszym członkostwem w Unii, które rzeczywiście nastąpi, to ja z żalem stwierdzam, że nie posługujemy tak potężną bronią, jaką jest nasze członkostwo w NATO. Ono powinno i może wzmacniać naszą pozycję w procesie negocjacji i rozmów z Unią Europejską i będzie czynnikiem wzmacniającym, pod warunkiem, że Polska o to członkostwo zadba. Ale nasza polityka zagraniczna nie może być polityką hasel, tylko realnego uczestnictwa w grze natowskiej, budowania odpowiedniej jakości naszego członkostwa w Sojuszu Atlantycznym. Obecna debata o przemysłach obronnych jest w moim odczuciu żenująca. Przed trzema czy czterema laty słyszałem od wysokich urzędników amerykańskich oraz kongresmenów, zarówno republikańskich, jak demokratycznych apel: niech Polska podejmie jakąś decyzję dotyczące samolotu wielozadaniowego, jaką chce, byle w sposób czytelny, czysty i szybki. Otóż ta szybkość, jak widać, jest szybkością umiarkowaną, skoro do dzisiaj jej nie podjęliśmy. Polska armia nie była dotąd w stanie przyjąć na siebie realizacji zadań natowskich. Sprzedawanie po raz kolejny Brygady Podhalańskiej nie wynika z naszego cwaniactwa czy błyskotliwego sprytu. My w dziedzinie militarnej nie mamy czego sprzedawać, dlatego musimy kilka razy oferować ten sam towar. To wszystko dowodzi, że nie wykorzystujemy szansy, jaką daje nam NATO. Jeżeli mówimy o zręcznym posługiwaniu się mechanizmami Unii Europejskiej, to nauczmy się najpierw zręcznego posługiwania się mechanizmami NATO, które są nieporównanie bardziej proste.

W polskich elitach politycznych przerażenie budzi stwierdzenie (przypominał o tym ostatnio Jerzy Jastrzębowski na łamach „Rzeczypospolitej”¹), że Polska może mieć specjalne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, a oś Waszyngton–Londyn–Warszawa nie musi być tylko straszakiem dla Francuzów, ale pewnym polem gry politycznej. Otóż my specjalnych stosunków budować nie próbujemy. I zgadzam się z Janem Marią Rokitą, że powinniśmy być proeuropejscy wobec Amerykanów, a proamerykańscy wobec Europejczyków. Tylko jest to gra wymagająca długiego przygotowania, bowiem w przeciwnym razie zostaniemy potraktowani jako państwo prężące mięśnie, których nie posiada.

¹ Jerzy Jastrzębowski, *Związki szczególne*, „Rzeczpospolita” 31 marca 2001 (dodatek „Plus-Minus”).

Wreszcie przechodząc do spraw bardziej szczegółowych. Jeżeli chcemy być partnerem cenionym przez Amerykanów i przez Europejczyków, to powinniśmy, paradoksalnie, skoncentrować naszą uwagę na regionie. Polska ma szansę bycia, jak to kiedyś sformułował Piotr Naimski, państwem kluczowym w ramach regionu Europy Środkowej zarówno dla Unii Europejskiej, jak i dla Sojuszu Północnoatlantyckiego. Z tej roli systematycznie rezygnujemy nie budując naszej pozycji w strukturach regionalnych. Rada Państw Morza Bałtyckiego, najważniejsza z organizacji regionalnych, wegetuje gdzieś na pograniczu zainteresowań polskiego MSZ-u. Grupa Wyszehradzka jest „wyjmowana” jedynie przy okazji spektakli propagandowych. Traci rolę forum konsultacyjnego, w którym Polska może mówić głosem tych kilku państw. Od dłuższego czasu, w interesie Mariana Zagórnego, zajmujemy się demontowaniem CEFT-y. Jak zatem wykorzystywać nasze członkostwo w dużych organizacjach, skoro Polska swojej roli lidera regionalnego nie potrafi odpowiednio skonsumować? Następnym zagadnieniem, o którym niedawno tu rozmawialiśmy, jest kwestia polskiej polityki wschodniej. Wciąż nie mogę się przekonać do tej minimalistycznej wizji Bartłomieja Sienkiewicza², mimo podbudowania jej solidną argumentacją. Jeżeli mówimy o polskiej polityce w trójkącie Bruksela–Waszyngton–Warszawa, to nie możemy zapomnieć o oczekiwaniu, że to my spróbujemy zaproponować jakąś wizję polityki wschodniej. Tymczasem my, poza deklaracjami, nie posuwamy się dalej, nie próbujemy sformułować realistycznej polityki wobec Ukrainy, ale także wobec obszaru pomiędzy Rosją a Polską.

Jan Maria Rokita mówił tu o wielkiej wizji cywilizacyjnej. I zastanawiam, czy w tej wizji cywilizacyjnej Polski jako kraju granicznego mieszczą się jeszcze Bałtowie, Ukraińcy, mieszkańcy Mołdowy, a być może także Białorusini? Jeśli mówimy o tych pytaniach cywilizacyjnych, to powinniśmy odpowiedzieć na pytanie, gdzie są granice Europy? Jest to także pytanie o Turcję. Janusz Reiter doskonale wie, co o członkostwie Turcji w Unii Europejskiej myślał Helmut Kohl. I na ile było to pytanie o cywilizacyjną tożsamość Unii.

Póki co wybór Europa–Ameryka jest dla Polski wyborem pozornym, ale może się stać realny, jeżeli nie będziemy potrafili skorzystać z doświadczeń brytyjskich czy niemieckich. Rola sojusznika Ameryki wzmacniała te kraje. Kluczowe znaczenie dla naszej postawy w tym realnym, aczkolwiek nie fundamentalnym konflikcie, powinna

² Bartłomiej Sienkiewicz, *Pochwała minimalizmu*, „Tygodnik Powszechny”, 24-31 grudnia 2000.

mieć między innymi ocena różnic w polityce wschodniej Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, a także różnic w podejściu do rozszerzania struktur Zachodu i jego potencjalnych granic. Musimy też uświadomić sobie, że fundamentalnym zagrożeniem dla polskiej polityki zagranicznej byłoby wyjście Stanów Zjednoczonych z Europy. Powinno to być traktowane jako pewnik polskiej polityki, bo dla nas większe znaczenie mają argumenty z dziedziny bezpieczeństwa niż z dziedziny strukturalno-ekonomicznej, która wciąż dominuje w Unii Europejskiej. I może warto zadać rzadko stawiane pytanie o narodowe cele polskiej polityki zagranicznej. I dopiero w tym kontekście oceniać trójkąt Warszawa–Bruksela–Waszyngton, i odpowiedzieć na pytanie, co Polska zyskuje na pro-, a co na antyamerykanizmie. W moim przekonaniu wielkie wizje cywilizacyjne jednolitej Europy są wizjami na dziesiątki lat. Wciąż nie wiemy, gdzie są granice tej Europy. Naszym interesem jest integracja po szwach państwowych i narodowych, a nie po szwach regionalnych, jak głosi projekt Joschki Fischera. W naszym interesie leży także, aby Europa równocześnie integrowała się ze światem północnoamerykańskim. I wreszcie w naszym interesie leży pogłębianie bezpieczeństwa europejskiego, bo tylko przebywanie w świecie bezpiecznym daje nam szansę na realne dokończenie transformacji demokratycznej i ekonomicznej oraz na realizację celu strategicznego, jakim jest trwałe zakorzenienie w strukturach Zachodu.

Włodzimierz Cimoszewicz: Na wstępie pojawiło się ważne pytanie: czy wobec występujących różnic między USA i Unią Europejską, prowadzona przez Polskę polityka wynika z jakiejś przemyślanej koncepcji, czy ma bardziej charakter intuicyjny? Jestem przekonany, że mamy do czynienia z tą drugą sytuacją. Uważam, że dominują zachowania intuicyjne, reaktywne w stosunku do pewnych zdarzeń, nie zaś wynikające z głębszych przemyśleń, z przyjęcia jakiegoś planu i konsekwentnego jego stosowania. Jest to ucieczka od problemu. Wynika z nieprzygotowania do odegrania aktywnej roli, oraz instynktownego sprzeciwu: oto nie chcemy dokonywać tego przysłowiowego wyboru między mamusią a tatusiem, przynajmniej do czasu, kiedy dostaniemy od obojga rodziców błogosławieństwo i dowód osobisty. Mam na myśli osiąganie pewnych naszych priorytetowych celów w polityce zagranicznej: członkostwa w NATO i Unii Europejskiej. Zdaję sobie sprawę z tego, że w obu tych przypadkach decyzje dotyczące nas w znacznym stopniu zależały od sposobów postrzegania nas, jakości relacji Polski z tymi, którzy w obu tych konkretnych sprawach mieli rozstrzygający głos. Oczywiście, istnieją źródła różnych konfliktów, napięć pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi,

ale ma rację Janusz Reiter zwracając uwagę na to, że ten konflikt nie ma charakteru fundamentalnego. Nie jest to konflikt wrogów, przeciwników, co nie oznacza, że nie ma on miejsca. Zaś najtrwalszym jego źródłem jest różnica interesów gospodarczych, i w najbliższym czasie ten konflikt może się pogłębić w związku z osłabieniem koniunktury gospodarczej nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także w Europie. W warunkach trudniejszej koniunktury wszyscy będą jeszcze mocniej bronili swoich interesów i nie będą się przejmowali skutkami występującymi u rywala. W moim przekonaniu możemy spodziewać się większej liczby napięć na tle ekonomicznym między Europą a Stanami Zjednoczonymi. I to nie tylko z powodu skłonności Europy do interwencjonizmu czy wspierania własnego biznesu, wbrew regułom wolnej konkurencji. W Polsce dominuje naiwne przeświadczenie, że gospodarka amerykańska stała się bardzo liberalna i poziom interwencjonizmu państwa jest tam niski. Rzeczywiście, poziom interwencjonizmu na szczeblu federalnym jest niski, ale na szczeblu stanów w wielu przypadkach jest on bardzo wysoki, ponieważ istnieją tam odmienne mechanizmy prawne niż w Unii Europejskiej. Miałem okazję obserwować w jaki sposób władze stanowe najszybciej rozwijających się regionów na południu Stanów Zjednoczonych zachęcają inwestorów. Ich metody, zastosowane w Europie, byłyby uznane za niedopuszczalne, za naruszanie zasad pomocy publicznej i pomocy państwa dla biznesu. Więc tych konfliktów zapewne na tle ekonomicznym będzie w przyszłości więcej.

Zapewne również w większym stopniu niż do tej pory, dadzą znać o sobie różnice ideologiczne, zwłaszcza dzisiaj pod rządami nowej administracji amerykańskiej. Dzisiaj w Waszyngtonie trwa nadal spór, kto nada trwały styl polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Jak kiedyś powiedział Premier Czernomyrdin: „wszyscy chcieli dobrze, a wyszło jak zawsze”. Niektórzy mogą chcieć wnosić tutaj elementy większej wojowniczności, a po jakimś czasie okaże się, że wprowadzana w życie polityka amerykańska będzie bardziej umiarkowana, niż mogłoby się to na początku wydawać. Ale ów czynnik ideologiczny będzie też dawał o sobie znać, i po raz pierwszy w dziedzinach, w których do tej pory nie był tak silnie obecny, chociażby w ekologii. Sądzę, że decyzja amerykańska dotycząca nieratyfikowania konwencji z Kyoto ma kolosalne znaczenie dla obrazu Stanów Zjednoczonych, sposobu myślenia o tym kraju setek milionów ludzi na świecie, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat stali się bardzo uwrażliwieni na problemy związane ze środowiskiem naturalnym. Skrajnie egoistyczne postawienie tej sprawy może mieć o wiele większe konsekwencje dla USA, także w nastawieniu światowej opinii publicznej do tego państwa.

Jak Polska powinna się w tych okolicznościach zachowywać? Oczywiście możemy jeszcze przez jakiś czas stosować tę politykę, o której mówił Aleksander Smolar – twierdzenia, że nie ma problemu. Ale rośnie prawdopodobieństwo tego, że zostaniemy zmuszeni do zajęcia stanowiska wobec konkretnych sytuacji. I łatwo jest przewidzieć przynajmniej kilka kwestii, wobec których będziemy musieli się określić. Chociażby kwestia systemu obrony przeciwrakietowej – różnice stanowisk są ewidentne. Aleksander Smolar ma rację, kiedy nam uświadamia, że tu chodzi nie tylko o kwestię możliwości finansowych czy też technologicznych. Jest to także kwestia logiki, na jakiej od lat czterdziestych oparte było bezpieczeństwo międzynarodowe. Logiki mało estetycznej, bo związanej z wzajemnym szantażem, ale bardzo skutecznie realizowanej. I jeżeli uda się zrealizować pomysł tzw. „gwiazdnych wojen”, to przekreśli to tę logikę. Zakładając nawet, że realizacji tych planów nie towarzyszą żadne agresywne zamiary ze strony amerykańskiej, to sam fakt zwiększenia obaw na świecie nie jest czymś obojętnym. Z tego punktu widzenia Polska powinna wykazywać dużą powściągliwość w swych zachowaniach. Z pewnym rozczarowaniem odebrałem dość jednoznaczne i pospieszne formułowanie stanowiska Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy prezydencie, jak i premiera Buzka w tej sprawie. Nie widzę powodu, dla którego zajęliśmy takie stanowisko w tej kwestii, zwłaszcza gdy nasi ważni partnerzy europejscy mają inny pogląd i zachowują się o wiele bardziej powściągliwie. Jeżeli z polskiej perspektywy mówimy o problemach Europa a Stany Zjednoczone nie możemy zapominać o Rosji. Europa musi obejmować Rosję. Nie tylko ze względów geograficznych jest to bardzo ważny fragment naszej Europy.

Wreszcie, wspomniana tutaj sprawa zakupu samolotu wielozadaniowego. Mamy tutaj do czynienia z potencjalnym konfliktem między interesem polityczno-militarnym a gospodarczym. Nie twierdzę, że jest on nie do uniknięcia. Uważam, że gospodarczo Polska mogłaby bardziej skorzystać na wyborze oferty europejskiej. Z punktu widzenia naszych interesów bezpieczeństwa i polityki, bardziej atrakcyjna jest oferta amerykańska. To są realne wybory, których nie unikniemy. Ile lat jeszcze możemy debatować. Ile lat możemy nie podejmować takich decyzji. Prowadzić to będzie do nie wywiązywania się z naszych zobowiązań sojusznicznych w Pakcie Północno-Atlantyckim i będzie wpływało na rolę, jaką możemy w nim odgrywać. Bezpieczeństwo Polski w dużym stopniu zależy od USA, a interesy gospodarcze w znacznie większym stopniu zależą od Europy, nie tylko unijnej. Dlatego nie powinniśmy popierać niczego co by osłabiało nasze bezpieczeństwo i w naszym interesie leży dalsza obecność

amerykańska w Europie. Natomiast nie wolno nam zapomnieć, że to nie Stany Zjednoczone, tylko państwa Unii Europejskiej podejmą decyzję, czy my zostaniemy członkiem Unii Europejskiej. A jest to chyba ważniejsze niż nasza przynależność do NATO i dobre stosunki z USA. Musimy je mieć „na wszelki wypadek”, ale wszyscy wierzymy, że tego „wszelkiego wypadku” nie będzie. O tym jednak jak będziemy żyli za pięć, dziesięć lat, jaki poziom gospodarczy osiągniemy, jak będzie się rozwijała Polska zadecyduje nasze członkostwo Unii. To będą zmiany nieodwracalne.

Chciałbym zatrzymać się nad fragmentem wystąpienia Jerzego Marka Nowakowskiego. W pełni zgadzam z Pana oceną naszej aktywności w regionie, a także z uwagami o bierności Polski w wypełnieniu kierowanych do nas oczekiwań związanych z podpowiadaniem koncepcji polityki zjednoczonej Europy wobec Wschodu. Szczególne znaczenie ma w moim przekonaniu dostrzegalne na przestrzeni kilku lat osłabianie roli Polski w regionie. Jestem tylko zaskoczony, że słyszę tę ocenę z Pańskich ust. Byłoby rzeczą niezwykle ciekawą, gdyby zechciał Pan podzielić się z nami swoimi uwagami z pozycji byłego doradcy międzynarodowego szefa rządu na temat przyczyn takiego stanu rzeczy. Przez ostatnie lata obserwowałem w kontaktach z politykami różnych państw naszego regionu ten proces, odbierałem go z przykrością, rozczarowaniem i uczuciem zawodu. Przepraszam, że wprowadzam wątek personalny: kierując polskim rządem, starałem się zrobić wiele dla umacniania pozycji Polski w tym regionie i dlatego nie mogę zrozumieć takiej polityki obecnego rządu.

Jan Maria Rokita określił Polskę mianem państwa frontowego. W tym określeniu tkwi coś więcej niż tylko stwierdzenie, że jesteśmy ostatnim państwem w pewnych strukturach, ostatnim w NATO, czy później w przyszłości europejskiej. Jeżeli oznacza to stan relacji między tymi strukturami, w których jesteśmy i do których dążymy, a naszymi sąsiadami, to nie mogę pogodzić się z tym określeniem. W głęboko pojętym interesie Polski jest, abyśmy nie byli państwem frontowym i unikali myślenia o sobie w tych kategoriach. Zakłada ono bowiem istnienie jakiegoś konfliktu w który chcemy, albo uważamy, że musimy być zaangażowani. Problem kształtowania naszej polityki zagranicznej jest bardziej złożony. To jest kwestia bardzo zręcznej, rozsądnej, przemyślanej polityki w naszych relacjach ze Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską. Nie wolno jednak traktować nam tego, co znajduje się na wschód od nas, jako obszaru wrogiego. Musimy odejść od myślenia w tych kategoriach, chociaż te emocje są zrozumiałe i wynikają z doświadczeń naszej przeszłości. Musimy przede wszystkim kierować się dzisiejszymi interesami naszego kraju.

Dyskusja:

Jan Maria Rokita: Mam dwie uwagi do wypowiedzi Włodzimierza Cimoszewicza. Pierwsza: bałbym się „branżowego” widzenia naszych relacji amerykańsko-europejskich. Przyjęcie założenia, że mamy „partnera od bezpieczeństwa” - za Atlantykiem i „partnera od gospodarki” - w Europie jest błędem, który może grozić klientyzacją polskiej polityki zagranicznej. Może ono prowadzić do bezkrytycznej proamerykańskości w sprawach bezpieczeństwa, nawet jeśli nie leżałoby to w naszym interesie, i zarazem do uznawania w sferze gospodarki dyktatu Komisji Brukselskiej. W tej chwili celowo wyjaskrawiam ten pogląd, bo widzę w tym sposobie myślenia ogromne niebezpieczeństwo. Uważam, że nie mamy partnerów branżowych. Przeciwnie, w zależności od sprawy spornej mamy różnych partnerów, np. w sferze europejskiego planowania operacyjnego nasz interes jest równocześnie interesem amerykańskim. Natomiast w sporze o czysto amerykański system obrony antyrakietowej polski interes jest jednocześnie interesem europejskim. Podobnie dzieje się w sprawach gospodarczych. W unijnej debacie o ujednoliceniu opakowań nie mamy dzisiaj głosu. Jednak gdybyśmy byli członkiem Komisji Europejskiej, to popierałbym nasze veto w tej sprawie, bo projekt jest nonsensem szkodliwym także dla naszych producentów i sprzyjałbym amerykańskiej skardze do Światowej Organizacji Handlu. W wielu innych sprawach będziemy związani z interesami europejskimi. Już dzisiaj widzę wielu polskich polityków różnych orientacji, którzy po dyrektywy w kwestiach ekonomicznych jeżdżą do Brukseli, a po dyrektywy w kwestiach bezpieczeństwa światowego do Stanów Zjednoczonych. Oba te ośrodki traktuje się w polskiej polityce „branżowo” na zasadzie *Roma locuta*.

I uwaga druga, w polskim interesie jest wzmocnienie budowy europejskiego państwa uniwersalnego. Wierzę, że ono kiedyś powstanie. Nie jest natomiast polskim interesem i nie mamy także możliwości by włączyć Rosję w obszar zjednoczonej Europy. Jestem przeciw.

Bogdan Górczałczyk: Jan Maria Rokita złożył tu akt wiary w politykę amerykańską. Zabrakło mi tu zasadniczej rzeczy, na którą zwracał uwagę m.in. Henry Kissinger: polityka amerykańska w porównaniu z polityką europejską jest bardziej zideologizowana. Pamiętając o tym, nie powinniśmy składać zbyt daleko idących deklaracji, bowiem

możemy się stać ich zakładnikami. W dotychczasowych wypowiedziach przewijało się pytanie czy jesteśmy państwem granicznym, państwem kresowym, czy też frontowym. Dlatego tak ważne jest, abyśmy nie stali się uczestnikami jakiejś ideologicznej krucjaty z racji wcześniej poczynionych zobowiązań. Chciałbym też namawiać do roztropności w naszej polityce zagranicznej. Nie staliśmy się jeszcze członkami Unii, a już w europejskich stolicach panuje przekonanie, że jesteśmy amerykańskim koniem trojańskim. To nie jest dobre określenie, a jego pojawienie świadczy o popełnionych błędach.

Janusz Reiter dosyć mocno podkreślał tu pozorną naturę konfliktu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Europą. Sądzę, że być może w przyszłości okaże się on sztucznym, ale teraz stosunki amerykańsko-europejskie są wystawione na ogromną próbę. Po pierwsze, program antyrakietowy jest wyzwaniem dla Europejczyków. Po drugie, tworzona europejska tożsamość obronna może stać się powoli czwartym obok trzech już budowanych filarów Unii.

W dotychczasowych głosach zabrakło mi podkreślenia, że w ramach projektu wspólnej polityki obronnej istnieją dwie odmienne opcje: brytyjska i francuska. W pierwszej chce się ją budować w ramach NATO, w drugiej poza strukturami sojuszu.

I ostatnia sprawa. Janusz Reiter przeprowadził krótką paralelę pomiędzy Polską a Turcją. Niedawno węgierski politolog Attila Agh określił kilka scenariuszy przyszłej architektury europejskiej. Jeden z nich zakłada turkizację, czyli naszą obecność w NATO i pozostanie poza Unią Europejską. W najbliższych dwóch, trzech latach nie ma dla nas ważniejszego wyzwania niż przystąpienie do Unii Europejskiej. Jeżeli jednak będziemy występowali w duchu Jerzego Marka Nowakowskiego, to możemy mieć do czynienia z małym poszerzeniem Unii Europejskiej.

Artur Hajnicz: Stany Zjednoczone są wprawdzie jedynym super mocarstwem, ale nie mogą być mocarstwem samotnym i potrzebują sojuszników zarówno w Europie jak i w Azji. Oczywiście jest, że Europa potrzebuje Amerykanów i ich obecności na starym kontynencie. Po drugie, nastąpiła zmiana administracji amerykańskiej. Zwracano dziś uwagę na negatywne następstwa tej zmiany. Ja chciałbym natomiast podkreślić również jej pozytywne skutki. Jednym z niepokojących skutków wojny w Jugosławii i jej przebiegu było pojawienie się głębszych niż kiedykolwiek rysów i pęknięć w Sojuszu Atlantyckim. W rezultacie pojawiła się w Europie brakująca poprzednio wola polityczna i determinacja tworzenia wspólnej Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony – ESDP. Musimy to uwzględnić jako kraj aspirujący do członkostwa w Unii Europejskiej. W związku z tym

sytuacja Polski była trudna gdyż oczekiwania i naciski wielkiego sojusznika amerykańskiego i Unii Europejskiej były odczuwalne i przeciwstawne. Z jednej strony padały zarzuty, że Polska miałaby być jakoby amerykańskim koniem trojańskim w Europie, z drugiej zaś występowały również określone oczekiwania. Przy nowej administracji amerykańskiej możemy się spodziewać rozładowania tego napięcia.

Ostatnia sprawa – nasza postawa w dążeniu do Unii Europejskiej. Obawiam się, że przeważa myślenie o korzyściach. Mało mówimy czym miałyby być Polska dla Unii Europejskiej. Wielu polityków w Polsce oczekuje, że Unia pozostałaby niezmieniona, a to jest niemożliwe. Sądzę, że powinniśmy identyfikować się z Unią Europejską na dziś, jutro i pojutrze. Także z wizją wyrażoną w Europejskiej Polityce Bezpieczeństwa i Obrony. Unia powinna dostrzegać w Polsce sojusznika a nie tylko klienta.

Rafał Antczak: Strategia „posłusznego cielęcia”, Polski starającej się znajdować pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą prowadzi do absurdów, na które tu już wskazywano. Zyskiem tej sytuacji na być wejście do Unii Europejskiej. Ale co się stanie, jeśli Polska do Unii tak szybko nie wejdzie? Może być wiele przyczyn opóźnienia tego procesu, bo przecież Polska nie spełnia dzisiaj żadnego kryterium z Maastricht. To opóźnienie będzie miało bardzo niekorzystny wpływ na rozwój gospodarczy Polski. Czy zatem nie nadszedł już kres obecnej polityki? Może należy zaprzestać negocjowania przedłużenia o rok czy dwa jakichś okresów przejściowych, które z ekonomicznego punktu widzenia są bezsensowne, a wybrać opcję daleko posuniętego egoizmu Polski skupiając się na interesach służących długoterminowemu rozwojowi gospodarczemu.

Leszek Moczulski: Tytuł dzisiejszej dyskusji jest bardzo spektakularny, ale nie odwzorowuje rzeczywistości. Powinniśmy stawiać pytanie gdzie znajduje się miejsce Polski w świecie cywilizacji zachodniej. Chyba nie pomiędzy Europą a Ameryką. Musimy to miejsce wyznaczyć i już teraz nasza polityka powinna patrzeć w przyszłość a nie w przeszłość. A my wciąż próbujemy sytuować się w nieistniejącym lub też przestającym już istnieć systemie. Wkraczamy w okres demontażu układu dwubiegunowego poczynając od załamania się potęgi wschodniej. Ma to zasadnicze skutki dla takich kwestii jak status NATO, jednoczenie się Europy, i potencjalne zagrożenia na naszym kontynencie. Dzisiaj Stany Zjednoczone nie odczuwają zagrożenia ze Wschodu. W tej sytuacji sojusz jako organizm polityczny nie traci swego znaczenia, ale jego polityczne zadania muszą zostać na nowo przemyślane. To samo dotyczy Unii Europejskiej. Przed dziesięcioma laty

zachodnia Europa, nazywająca się wówczas EWG, była bardziej zwarta jako odrębna całość. Dzisiaj wiele rządów coraz wyraźniej dystansuje się do Brukseli. W tym kontekście musimy szukać naszego miejsca. Więcej, jesteśmy uwikłani nie tylko w sprawy Unii, ale także w sprawy naszej części Europy, naszych wschodnich sąsiadów. Patrząc na ten zmieniający się świat, na jutro, a nie wczoraj, możemy określać narodowe cele naszej polityki zagranicznej, określać naszą przyszłość w kategoriach politycznych. Jeśli spróbujemy wyobrazić sobie co za dwadzieścia pięć lat stanie się z Chinami, jak będzie wyglądała Rosja, jeżeli spojrzymy na procesy i globalizacji i dyferencjacji, partykularyzacji świata, to droga, którą musimy znaleźć nie będzie wydawała się aż tak prosta, jak dzisiejsze odpowiedzi na pytania: czy nam bliżej do Unii czy do NATO.

Włodzimierz Cimoszewicz: Po pierwsze, nie zamierzałem przypisywać branżowych ról Stanom Zjednoczonym i Europie, co zarzucił mi Jan Maria Rokita. Wskazywałem jedynie, że w podstawowych obszarach naszych interesów - bezpieczeństwa i gospodarki - USA i Unia Europejska odgrywają silniejszą bądź słabszą rolę. To jest oczywiste. Posługując się retoryką Jana Marii Rokity, który tu mówił o odwadze i ekspansywności, powiedziałbym, że właśnie z tych powodów możemy bardziej liczyć na Stany Zjednoczone jako na partnera w kwestii bezpieczeństwa. Natomiast w związku z położeniem geograficznym i realnymi więziami ekonomicznymi, poziomem inwestycji i wieloma innymi kwestiami, nasze interesy gospodarcze w większym stopniu zależą od zintegrowanej Europy. Po drugie, Rosja z perspektywy Waszyngtonu może wyglądać jak inwalida gdzieś w odległym krańcu świata, którego można dzisiaj próbować ustawić w odległym miejscu na drabince państw, ale z perspektywy Warszawy ten kraj ze wszystkimi jego kłopotami wygląda trochę inaczej i jest ważnym fragmentem Europy. Oczywiście Rosja nie może, jak bywało dziesięć czy dwadzieścia lat temu, próbować decydować o tym, co się dzieje w naszym kraju. Ma jednak ogromny potencjał, który daje jej szansę stania się ponownie za lat dwadzieścia silnym państwem. Już dzisiaj, osiągając równowagę budżetową i 40 miliardową nadwyżkę w handlu zagranicznym, jest dla nas interesującym partnerem ekonomicznym, tym bardziej, że odnotowujemy z tym krajem 3 miliardowy deficyt w obrotach handlowych. Świadomie upraszczam, sprowadzając całość stosunków z naszym wschodnim sąsiadem do kwestii gospodarczych, ale nasze dobre stosunki mają ogromne znaczenie także w kulturalnym, a nawet czysto ludzkim wymiarze.

Jerzy Marek Nowakowski: Szczęściem i frustracją doradcy jest to, że on doradza a nie decyduje. W nawiązaniu nawiązując do zdziwienia wyrażonego przez Włodzimierza Cimoszewicza. Wiele razy wyrażałem publicznie moje oceny tej polityki i nadal uważam, że dla kraju rozmiaru i siły Polski, jest to kluczowy czynnik w grze z największymi partnerami. Dołączając się do części polemiki Jana Marii Rokity muszę podkreślić, że w tej dyskusji używamy pojęcia „Europa” bardzo precyzyjnie. Nie jest to „Europa” w rozumieniu geograficznym, lecz Unia Europejska. Jeżeli powiada Premier Cimoszewicz, że powinniśmy traktować Rosję jako kraj europejski, to oznacza, że sądzimy, iż będzie ona w krótkoterminowej perspektywie elementem rzeczywistości politycznej Unii. Otóż nie jestem takim optymistą. To znacznie dłuższa perspektywa. Jeżeli myślimy o Rosji jako naszym ważnym partnerze w grze Europa–Ameryka–Polska, to uważam, że boimy się powiedzenia: „król jest nagi”. Pomiedzy Polską a Rosją istnieje realna różnica interesów strategicznych: inaczej oceniamy przyszłość Ukrainy, Białorusi, Mołdowy czy też całego obszaru postsowieckiego. Jeżeli w tej perspektywie spojrzymy na europejską rolę Rosji, to nasza debata z Rosjanami może być trudna i nie udawajmy, że będzie inaczej.

Bogdan Góralczyk zarzucił mi, że jeżeli tak będziemy rozmawiali z Europą, to grozi nam małe poszerzenie. Chciałbym zauważyć, że rozmawiamy z Europą na kolanach i tak stoimy przed takim zagrożeniem. Po drugie, nie rozumiem przestróg, że amerykańska polityka jest ideologiczna i możemy stać się uczestnikami jakiejś ideologicznej krucjaty. To dziwaczny pomysł. Przypominam, że pozycja Polski w świecie zachodnim, w NATO, jak i w Unii Europejskiej, nie jest uzasadniona ani naszą potęgą militarną ani gospodarczą i kompatybilnością z Europą, tylko właśnie względami ideologicznymi. Polskim interesem jest, aby polityka międzynarodowa była polityką zasad i ideologii. Jeżeli o tym zapominamy, to możemy bardzo wiele przegrać.

Ostatnia sprawa, to narodowa obrona antyrakietowa. Uważam, że stosunek Europejczyków do programu NMD po części wynika z tej choroby, która jest ciężką chorobą polskiego myślenia politycznego i lekką, ale jednak istniejącą chorobą myślenia europejskiego, mianowicie wycinkowości widzenia polityki. Jestem przekonany, że Amerykanie reanimowali NMD nie po to, by bronić się przed Rosją, ale by zbudować tarczę ochronną przed państwami „bandyckimi”. Problemem nie jest zagrożenie istnieniem bipolarnego układu - on już nie istnieje, lecz groźba amerykańskiego izolacjonizmu.

Włodzimierz Cimoszewicz: Jest oczywistym, że nie proponuję, aby Rosja znalazła się w zintegrowanej Europie w rozumieniu Unii Europejskiej. Muszę jednak przyznać, że żałuję,

iż na przykład w Sztokholmie mogą rodzić się interesujące pomysły dotyczące kształtowania się relacji między Rosją, bądź jej fragmentami, a Unią Europejską, nie zaś w Warszawie. Wiem, że często mówiąc „Europa” myśli się o Unii Europejskiej, ale ja świadomie powtarzam, że z naszej warszawskiej perspektywy Europa to także Rosja. Nie tylko ze względów geograficznych, ale i z powodu naszych interesów. I, w moim przekonaniu, są to także interesy Europy. Popierając procesy zjednoczeniowe w Europie musimy mieć świadomość, że nie obejmują one całego kontynentu i pozostaje coś jeszcze do załatwienia.

Janusz Reiter: Jerzy Marek Nowakowski powiedział przed chwilą, że Polska z Unią Europejską rozmawia na kolanach. Otóż byłby to pierwszy przypadek, że ktoś klęcząc na kolanach, jednocześnie tak głośno tupie. Sądzę też, że to nasze tupanie nie wynika z naszej odwagi, lecz z poczucia naszej słabości.

Zgadzam się z tym, że Rosja za piętnaście czy dwadzieścia lat znów będzie partnerem liczącym się w grze światowej. Jeśli to sobie uświadomimy, to tym bardziej nakazem polskiej racji stanu musi być włączenie Polski do Unii Europejskiej. Absurdem byłoby, gdyby Polska leżąca między Unią Europejską a Rosją, była zakorzeniona wyłącznie w NATO, którego centrum jest i pozostanie po drugiej stronie Atlantyku. Konsekwencje takiego stanu rzeczy byłyby tylko złe. Chcę też podkreślić, że nigdy nie twierdziłem, iż konflikt interesów, częściowych, nie całościowych, pomiędzy Ameryką a Unią Europejską jest sztuczny. Istnieje rozbieżność interesów w wielu sprawach, chociaż nie sądzę, jak powiedział to Włodzimierz Cimoszewicz, że jest to konflikt fundamentalny. I nie zmusza on nas do wyznania wiary po jednej czy po drugiej stronie. Pamiętajmy, że wiele krajów znakomicie godzi przynależność do Unii Europejskiej i do NATO. Nie neguję istnienia realnych rozbieżności, a również tego, że Polska będzie musiała dokonywać wyborów. Co więcej, uważam, że nasze przybliżanie się do Unii Europejskiej będzie miało głęboki wpływ na treść naszych decyzji. Tylko obawiam się, że jeżeli naszej opinii publicznej narzuci się pewien styl myślenia o faktycznych czy rzekomych konfliktach pomiędzy Unią Europejską a NATO, to może ona wyciągnąć z tego zupełnie fałszywe wnioski. Wstąpienie do NATO było najważniejszą połową drogi do trwałej zmiany naszego położenia w Europie. Niektórzy jednak mogą dojść do wniosku, że wejście do Unii Europejskiej będzie ruchem wstecz, do miejsca z którego wyszliśmy ruszając do NATO. Jeżeli Polacy uważaliby, że przynależność do Unii Europejskiej osłabi ich związki z Ameryką, i w ten sposób podważy ich poczucie bezpieczeństwa, to byłby

najważniejszy argument za odrzuceniem myśli o wejściu do Unii Europejskiej. A trzeba powiedzieć wyraźnie, wielu Polaków napawa ono niekiedy lękiem.

Na koniec wracając do zarzutu Jana Marii Rokity o branżowym podejściu do partnerów: Ameryka to bezpieczeństwo a Europa to gospodarka. Ja też odebrałem tę tezę krytycznie. Jeżeli przyjmujemy taki podział, to zamykamy się na coraz ważniejszy wymiar Unii Europejskiej. Unia dzisiaj nie jest wyłącznie strefą wolnego handlu. Nawet jeśli aspekt gospodarczy wciąż dominuje, to Unia Europejska ewoluuje w kierunku unii politycznej. Polska, powinna wziąć udział w tym procesie, bo leży to w jej interesie. Przyjmując zaś ten podział wykluczilibyśmy się ze znacznej części tej Unii. Wiem, że nie było to Pana intencją

Aleksander Smolar: Uczestnicy debaty zgodzili się, że kwestia określenia miejsca Polski w przestrzeni politycznej wyznaczonej przez politykę i interesy Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych jest tematem ważnym. Również, nieuchronnym źródłem ważnych pytań i dylematów polskiej polityki. Różnie określaliśmy tu specyfikę stanowisk USA i Unii i odmienne przypisywaliśmy im znaczenie. Ale nikt z uczestników różnic tych nie dramatyzował, nie widział w nich zapowiedzi pęknięcia sojuszu atlantyckiego. Ale też nikt nie dowodził, że problemów nie ma i nie będzie. Mimo różnic akcentów widoczny jest *consensus* w sprawach zasadniczych. Prawdziwa dyskusja zaczyna się – czy też powinna zacząć się - na poziomie konkretnych wyborów, wobec których staje czy stać będzie polska polityka. Panuje dość daleko posunięta zgoda – jak rozumiem – co do tego, że podejmowane decyzje, słuszne i mniej udane, były często wynikiem raczej intuicji, reakcją na bieżącą sytuację, a nie następstwem głębokich przemyśleń i strategicznej wizji. Odmowa uznania konfliktowych racji i sprzecznych interesów – w tym odmowa udziału w zasadniczych debatach państw, z którymi coraz ściślej się wiążemy – nie chroniła nas przed podejmowaniem decyzji. Ani też przed posądzaniem polskiej polityki o systematyczny proamerykanizm, nawet gdy interesy Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej zderzały się mniej czy bardziej wyraźnie. W przypisywanych nam skłonnościach nie ma oczywiście nic złego. Pod warunkiem wszelako, że wiążące nasz kraj decyzje podejmuje się świadomie, z pełną jasnością co do korzyści i kosztów z punktu widzenia polskich interesów. A nie w wyniku presji tych czy innych państw, emocjonalnych reakcji, chwilowych impulsów.

Konflikty między USA i Unią Europejską są czasami realne i poważne, czasem marginalne czy wręcz wyimaginowane; ich znaczenie dla przyszłości i spójności sojuszu

atlantyckiego daleko przesadzone. I na pewno nie jest w interesie Polski ich pogłębianie. Polska jest żywotnie zainteresowana zarówno w pogłębianiu procesów integracji europejskiej – chociaż można wyczuć istotne różnice w postulowanym charakterze tego procesu – jak i w utrzymaniu i umocnieniu więzi transatlantyckiej. Chociaż przy głębszej dyskusji zapewne bardziej jeszcze wyraziste byłyby różnice w ocenie miejsca i roli autonomicznego, europejskiego systemu obrony, czy szerzej: niezależnej roli integrującej się Europy jako podmiotu międzynarodowego.

Ostatnia uwaga. Dyskutanci, różnie definiując nasze osiągnięcia i niepowodzenia zgodnie podkreślali, że pozycja Polski zarówno w Unii jak i w NATO będzie zależała w dużym stopniu od jakości naszego członkostwa, od tego, co będziemy potrafili wnieść oryginalnego do tych organizacji, czy będziemy w stanie uczynić bliską obu wspólnotom naszą wrażliwość, nasze interesy, nasz sposób widzenia stosunków międzynarodowych. Przede wszystkim chodzi tu o stosunek NATO i Unii Europejskiej do naszych wschodnich sąsiadów: Ukrainy, Litwy, Białorusi i oczywiście Rosji. Jeżeli chcemy silnie zaznaczyć naszą obecność w polityce międzynarodowej, jeżeli procesy integracyjne, w których bierzemy udział mają zdolność Polski do politycznego działania, to możemy to uczynić tylko umiejętnie łącząc nasze interesy narodowe z interesami NATO i Unii w obszarze na wschód od Polski położonym. I to na pewno nie w intencji konfrontacyjnej, ani też po to, aby te kraje od Zachodu izolować.

Bardzo dziękuję panelistom i wszystkim uczestnikom dyskusji. Mam nadzieję, że podzielacie państwo mój pogląd, że ta debata była pożyteczna i już niedługo zaproponujemy następny temat spotkania.

opracowanie: Grażyna Czubek, Piotr Kosiewski